ROK TRZECI.

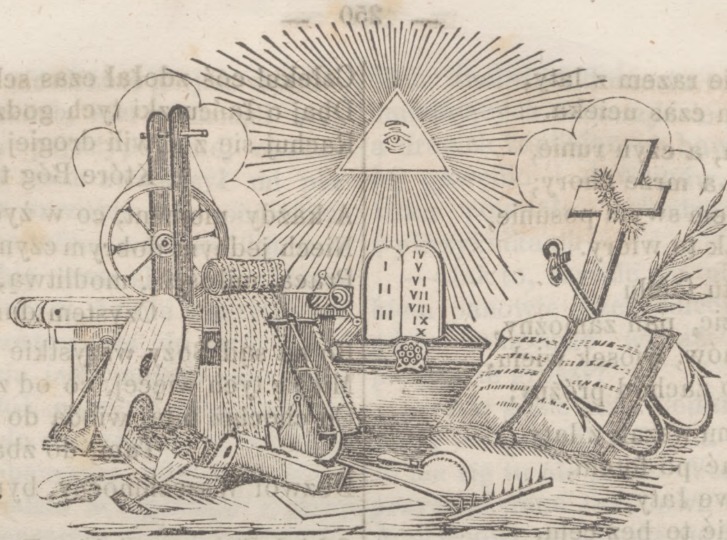
№ 32

**Warszawa**

**Dnia 27 lipca (8 sierpnia) 1858.**

**Niedziela**

11ta po Świątkach.



REDAKCYA CZYTELNI

przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

**PRENUMERATA**

rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

*„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“* (Ś. Wincenty à Paulo).

# CZYTELNIA NIEDZIELNA.

*Wszechmocny a wieczny Boże, który szczodrotą Twej litości nieskończenie przewyższasz i zasługi i same nawet żądania błagających Ciebie, racz wylać na nas miłosierdzie Twoje, abyś odpuścił, czego się sumienie stracha, a przysporzył to, czego się modlitwa dopraszać nie odważa.* (Kollekta na niedzielę jedenastą po Świątkach).

## Poranek rzemieślników.

(Ciąg dalszy, patrz nr. 31 Cz.).

—

CHÓR.

Do pracy, do trudów, wesoło do dzieła,
Żyj nam Boska myśli, coś pracę poczęła!

SZEWC.

Od świtu aż do zmroku na nizkim trójnogu,
Pochylony nad stopą z drzewa wystruganą,
Ślęcząc wciąż nad robotą nieraz opłakaną,
Tęskną piersią, od serca piosnkę śpiewam Bogu.
Od świtania do zmroku, w trudu pocie krwawym
Przepędzony czas życia nieraz w niedostatku,
Daj mi Panie Wszechmocny! przy samym ostatku
Skończyć z zadowoleniem, żem był człekiem prawym.
W Twoim sądzie wszakżeśmy wszyscy pracownicy,
Każdy z nas ludzi musi dać braciom swe dzieło,
Bo na pracy istnienie wszystkiego spoczęło,
A najlepszym, kto więcej kropel znoju liczy.
Wszakże Boże, gdyś posłał Syna na tę ziemię,
On przebywał pomiędzy najlichszemi stany,
On im słodził z litością żywot zacierpiany,
I On im ulżył nieraz trudu ciężkie brzemię.
Wszak pomagał rybakom w napełnieniu sieci,
On w pokorze miłości stopy mył żebrakom,
On i dzisiaj gdy zechce, również mocą taką
Wesprze znów rzemieślniki, biedne swoje dzieci.
Otoć wołam w modlitwie, gdy głoszę Twą chwałę,
Swobodny na sumieniu czekam wielkiej chwili,
Bo w niej wszyscy to wezmą, na co zasłużyli,
A zasługą największą, czyste życie całe.
Witam ten świt różany, a z wesołą duszą,
Gdym pozdrowił już Tego, co dnie zsyła ziemi,
Przy pracy, obok żony z dziatkami mojemi
Szczęsne rzemieślnikowi dzionki spłynąć muszą.

—

CHÓR.

Do pracy, do trudów, wesoło do dzieła,
Żyj nam Boska myśli, coś pracę poczęła!

STOLARZE.

Wszystko marne, klitki, graty,
Marne dzieła rąk człowieka;

Wszystko ginie razem z laty,
Na zniszczeniu czas ucieka.
Majster działa, a czyn runie,
Doktor leczy, a mrze chory;
Czas gdy heblem swym posunie,
Lecą ludzie jak te wióry.

Jutro na tym tu fotelu
Siądzie dziedzic, pan zamożny,
Władzca domów, wiosek wielu,
A to wszystko zachód próżny;

Bo niedługo mu wszak z laty
Trumnę strugać po fotelu,
A na fotel nowe łaty,
Później... spalić to bez celu.

Ale i czas na sęk wpada,
A tym sękiem przyszłość, wieczność;
Tam jest Bóg, co czasem włada,
I tam sądu ostateczność.

Człek dziedzicem tej puścizny,
Wszak on pragnie ciągle nieba;
Ale na to walki, blizny,
Trudów trzeba, zasług trzeba.

Wszystko marne na tym świecie,
Tylko człowiek w godzin zgubie
Wielki z pracy wieniec plecie,
Który przyjmie Bóg w rachubie.

Żwawo heblu, gdy tak trzeba,
Z silną dłonią, czystą myślą;
Przy kawałku skromnym chleba,
Szczęście nam niebiosa przyślą.

Wszak Bóg dobry chce niewiele:
Kroplę znoju czystej duszy,
Chce pogody na tém czole;
Kogóż dobroć ta nie wzruszy?

—

CHOR.

Do pracy, do trudów, wesoło do dzieła,
Żyj nam Boska myśli, coś pracę poczęła!

ZEGARMISTRZ.

Leciał czas prędko od stworzenia świata,
Że w pędzie gubił tysiącami lata;
Aż ludzie skoro słońce zobaczyli,
Niem czas mierzyli.

I wtedy człowiek zdołał czas ukrócić,
Odtąd mu nie śmie porządku zakłócić,
Dziś stąpa wolno, potężnie zakuty
W tercje, minuty.

Człeku! coś zdołał czas schwytać w obiegu,
Dbaj o łańcuszki tych godzin szeregu.
Rachuj się z chwili drogiej w księdze Bożej,
Które Bóg tworzy.

A każdy moment, co w życiu uleci,
Niech jednym dobrym czynem twym zaświeci:
Pracą, miłością, modlitwą, poddaniem,
Czystem dumaniem.

Bo na sąd Boży wszystkie chwile biegą;
Miejże tych więcej, co od zguby strzegą,
Co chociaż tutaj wiodą do cierpienia,
Tam, do zbawienia.

Dozwól Wszechmocny, bym z ostatniem dziełem
Oddał Ci żywot, jaki z Twych rąk wziąłem,
Po próbach czysty, z poważną żałobą
Stanął przed Tobą.

—

CHÓR.

Do pracy, do trudów, wesoło do dzieła,
Żyj nam Boska myśli, coś pracę poczęła!

(Dokończenie nastąpi).

---

## Oszczędny Jakóbek.

(Zdarzenie prawdziwe).

—

W pogodną niedzielę jesienną roku 1856, dwóch dorodnych chłopaków z książeczkami w ręku wbiegło do pałacu Paca po schodkach, prowadzących do Kassy Oszczędności. Złożywszy w Kassie zebraną w ciągu dni kilkunastu oszczędność swej pracy i odebrawszy książeczki, wyśli radośni i zatrzymali się na trotuarze.

Młodszy z nich ze łzą w oku wyciągnął rękę do swego towarzysza i rzekł z uczuciem:

— Drogi Jakóbku! jakże ci podziękuję, jak wywdzięczę za twoje rady i nauki, które tak są zbawienne. Nie jestem wprawdzie tak bogatym, jak ty, bo w mojej książeczce dopiero rubli 80, wówczas, gdy w twojej przeszło dwieście; ale nie umiem ci wyrazić, jak jestem rad z siebie, jak szczęśliwy. Wszystko to święta prawda, coś mi powiedział. Od czasu jak zacząłem szczerze pracować, nauczyłem się prawie dwa razy tyle w pół roku, czego inni mniej chętni we dwa lata nauczyć się nie mogą. Zdrowie moje teraz lepsze, a nawet

zupełnie dobre, bo nie niszczę go jak dawniej na kartach i hulankach; starsi zaczęli mnie szanować i lubić, pryncypał mój okazuje mi przywiązanie i sam zwiększył mi płacę, a i to niemałe szczęście, że potrafiłem dojść do takiego kapitaliku, w tak krótkim czasie. Ale chociaż lubię teraz skrzętnie zbierać i oszczędzać, wyznaję ci, że nie wszystko oddałem w Kassie; zostawiłem do dwóch rubli na ufetowanie ciebie jako mojego nauczyciela i opiekuna. Otóż naprzód pójdziemy na śniadanie, potem do menażeryi, a ztamtąd na *Czyste*, gdzie zobaczymy olbrzyma, który przechadzać się będzie w ogrodzie i gdzie puszczone będą wieczorem piękne fajerwerki. Pryncypał mój pozwolił mi cały dzień przepędzić z tobą, bo on ciebie bardzo lubi i powtarza mi często, żebym się trzymał ciebie, a wyjdę na ludzi.

— Dziękuję ci kochany Andrzeju! za twoję fetkę, a więcej jeszcze za to, że cenisz moje przyjacielskie rady. I teraz nie wątpię, że posłuchasz mnie i zgodzisz się na mój projekt. Naprzód należy nam pójść do kościoła i podziękować Bogu, że nam w zdrowiu pozwolił pracować i poszczęścił w pracy, potem możemy pomyśleć o zabawie, ale pod warunkiem, że płacić będziemy po połowie. Choć to jak mówią, poniemiecku, ale jak gdzie chodzi o rachunek, szczerze upodobałem sobie tę ich maxymę, którą często moi pryncypałowie jako wspólnicy przy obliczaniu się z sobą powtarzają: gute Rechnungen, machen gute Leuten, a co odpowiada naszemu polskiemu przysłowiu: żyjmy jak bracia, a targujmy się jak żydzi.

— Niech tak będzie, jak chcesz, odrzekł Andrzej i oba weszli do kościoła Kapucynów.

Wysłuchawszy całej mszy świętej, pobożnie klęcząc i wyrażając modły swoje nietylko ustami, ale całem sercem, duchem i myślą podniesioną ku Bogu, który wspierając ich piękne postanowienia i utrzymując w zdrowiu, dozwalał już poczciwą i sumienną pracą rozwijać zdolności i kształcić się na ludzi użytecznych, wyszli z kościoła, obdzielając jałmużną kilku modlących się tam żebraków.

Na śniadanie udali się na ulicę Gołębią, gdzie potężne piętnasto-groszowe porcye flaków, pieczeni huzarskiej i kiełbasy z kapustą nęcą wielu smakoszów z klassy rzemieślniczej. Tam znaleźli kilkunastu towarzyszy, jednych zmiatających zamaszyście podane już porcye, a drugich zapijających bawara wśród wesołej gawędki i dowcipów. Z tych ostatnich kilku powitało wchodzących żartobliwemi wykrzyknikami:

— Jak to, czyście się nie omylili przypadkiem panowie oszczędniccy, wchodząc tutaj, gdzie koniecznie wydać potrzeba najmniej piętnaście groszy?

— Ale gdzie tam, dodał jeden z dowcipnisiów, oni przyszli tylko na chleb i sos, za które nic się tu nie płaci. Wszakże pan Andrzej przysiągł panu Jakóbowi, a pan Jakób panu Andrzejowi, że dopóki nie zbiorą po tysiąc rubli, nic ani pić, ani jeść nie będą za swoje pieniądze.

Niezmieszani temi żarcikami, z uśmiechem powitali wszystkich i zasiadłszy przy stoliku, kazali podać sobie po porcyi flaków i pieczeni. W ciągu dalszych żarcików odcinali się tak rozsądnie i z takiem umiarkowaniem, że wkońcu dowcipnisiom brakło konceptów i powolnie zmieniając ton mowy, zbliżyli się nareszcie do nich, prosząc, żeby wypili z nimi po buteleczce bawara, a ku powszechnemu pożytkowi wyłożyli im naukę o oszczędności, dodając, że jeżeli nauka ta wskaże łatwe sposoby dojścia do grosza, pójdą za ich przykładem.

Jakóbek nie zważając na ten żartobliwy dodatek, ze spokojnością odrzekł: Przyjmuję to wyzwanie, gdyż zawsze i każdemu gotów jestem doradzać uczciwą pracę i rozsądną oszczędność; ale jeżeli wam w istocie przyjemnem będzie nasze towarzystwo, służyć wam będziemy pod temi tylko warunkami, że zaraz po śniadaniu naszem wyjdziemy ztąd razem, bo tu i ciasno i duszno; a zresztą wy już piliście swojego bawara, a ja i Andrzej trunku tego nie pijamy, bo to i drogie na kieszeń czeladników i niezdrowe. Za pieniądze, które oszczędzicie na kilka butelek bawara, kupicie bilety do menażeryi, ztamtąd pójdziemy razem na Czyste. W obu tych miejscach możemy lepiej się zabawić jak tutaj; w menażeryi napatrzymy się na ciekawe zwierzęta, a na Czystem użyjemy świeżego powietrza, przyjrzymy się olbrzymowi i pięknym fajerwerkom. A to także należy do oszczędności umieć użyć rozsądnie swojego grosza, na-

wet poświęcając go na zabawę. Po drodze na *Czyste*, opowiem wam, jakim sposobem zamiłowałem tak oszczędność i pracę i doszedłem do posiadanego przeze mnie kapitaliku, a ręczę, że przekonacie się, jak łatwo i jak przyjemnie pracować szczerze i nie marnować zapracowanego grosza.

— Przystajemy, przystajemy, odpowiedziało zgodnie pięciu bawarzystów, kończąc jednym haustem rozpoczęte kufle, i po rozpłaceniu się wyszli do menażeryi Kreutzberga.

Po godzinnem tam zabawieniu się udali się razem na Czyste. Po drodze Jakóbek opowiedział towarzyszom swoim następujące szczegóły z życia swojego:

—Zostawszy sierotą w dziecinnym wieku, za staraniem brata stryjecznego oddany byłem na naukę, w małem miasteczku na Litwie, do puszkarza Sokołowskiego, gdyż czułem w sobie szczególny pociąg do tego rzemiosła. Poczciwy i dobrze znający swój fach, majster Sokołowski uczył mię starannie i zajmował się jak własnym synem. Na nieszczęście niewiele miał roboty, bo jako niezamożny nie mógł sprowadzać, jak tutejsi puszkarze, luf zza granicy; zajmowaliśmy się tylko reperacyą i odczyszczaniem strzelb myśliwskich, czasem dorobieniem oprawy, albo ślusarską robotą około reperacyi zamków i kluczy. Tęskniłem bardzo do lepszej nauki i zawsze marzyłem o wielkiém mieście, o wielkich warsztatach i o wszystkich tych fabrykantach, których nazwiska czytałem na strzelbach oddawanych nam do reperacyi. Nieraz przez całe wieczory i noce przemyślałem, jak się dostać do wielkiego miasta, gdzie wyobrażałem sobie, że człowiek pracowity i poczciwy musi koniecznie wyjść na ludzi. Serce mi się rozrywało z radości na samą myśl, że kiedyś uda mi się doprowadzić zamiary moje do skutku, że w wielkiem mieście zostanę majstrem i to nielada majstrem, że swoje nazwisko wyryję na lufie, że poszukiwać będą moję broń, jak broń Kuchenrejtera, Lepaża, Colleta, Beckera, Koczego i innych, których nazwiska kręciły mi się po rozpalonej głowie.

Pracowałem też szczerze u Sokołowskiego, i mogę sobie oddać tę sprawiedliwość, że po pięciu latach nauczyłem się dobrze wszystkiego, czego się mogłem u niego nauczyć. Cztery lat temu przybył w tamte strony do swoich krewnych jeden urzędnik z Warszawy, który słysząc o mnie wiele dobrego, wziął mię z sobą i umieścił w Warszawie u tych fabrykantów, u których dotąd zostaję. Ale muszę wam opowiedzieć dosłownie, jakie mi dał przestrogi ten zacny opiekun mój, oddając na naukę; są one dla mnie świętą ewangelią, powtarzam je sobie codziennie i dlatego każdy prawie wyraz pozostał i w pamięci i w sercu mojem.

Jesteś Jakóbku, powiedział mi, biednym chłopcem, ale na szczęście jesteś w tym wieku, że możesz pojąć, od czego los twój zależy. Dotąd byłeś pracowitym, poczciwym, bądź i nadal takim; masz przed sobą otwarte pole do nauki, oddaję ciebie do bardzo zacnych i prawie najznakomitszych u nas fabrykantów; staraj się korzystać z każdego dnia, z każdej godziny, bądź im uległym, okazuj na każdym kroku uszanowanie, ażeby zjednać życzliwość ich dla siebie, uważaj ich za swoich dobroczyńców i opiekunów, bo w istocie od nich cały los twój zależy. Nie wdawaj się w złe towarzystwa, unikaj próżniaków i zepsutych, bo oni są jak zaraza, która może udzielić jadu ludziom nawet najlepszych skłonności. Bądź pobożnym, szanuj obowiązki dobrego chrześcianina, módl się codziennie i to z uwagą, z przejęciem się, wieczorem zdawaj w modlitwie Bogu rachunek z tego wszystkiego, coś uczynił i będąc sam swoim surowym sędzią, staraj się poprawiać z każdego błędu, z każdej złej myśli. Oszczędzaj troskliwie zapracowanego grosza i ograniczaj się w wydatkach swoich, a osiągniesz liczne korzyści; raz, że oszczędzając wcześnie, wcześniej pocieszysz się owocem swych oszczędności i zapewnisz dla siebie spokojność na wypadek nieszczęścia, lub na tę ważną dla ciebie chwilę, gdy po ukończeniu potrzebnych lat wprawy w stopniu czeladnika, będziesz chciał być majstrem i zaczniesz pracować, jak mówią, u was na swoję rękę, a powtóre ograniczając twoje wydatki, do potrzeb tylko najgwałtowniejszych i niezbędnych, nie wpadniesz w żaden nałóg, w żadne złe skłonności i odstręczysz od siebie owych marnotrawnych synów, co nie tylko swoje niszczą zarobki, ale jeszcze czychają na pracę drugich i wciągają nieprzezornych i lekkomyślnych w swoje zwodnicze

sidła, prowadząc za sobą do poniewierki i do zguby. Oszczędzając się w wydatkach, zaoszczędzisz nietylko grosz, ale i czas, który jest także wielkim kapitałem. Rozrywki odłóż na później; jak przejdziesz swoję naukę, jak los swój ustalisz, wówczas będziesz mógł użyć przyzwoitej zabawy i większej uciechy, bo już cię przyszłość twoja zastraszać nie będzie.

Otóż te przestrogi kierowały i kierują dotąd postępowaniem mojem. Jak wiecie, nie lubię żadnych hulanek, żadnych towarzystw, pracuję chętnie i szczerze, bo widzę, że pracą nabywam większego uzdolnienia i osiągam takie korzyści pieniężne, które mi dozwoliły zebrać w lat kilka dość znaczny kapitalik. W początku składałem zaoszczędzone pieniądze u mojego opiekuna, a skoro już się uzbierało rubli trzydzieści, opiekun mój radził mnie złożyć je na procent w Kassie Oszczędności i dalej tak postępować.

— A zkądże mogłeś tak wiele zaoszczędzać, chyba miałeś jakie niezwykłe dochody?

— I owszem brałem taką płacę jak inni, to jest po trzy ruble na tydzień; z tych półtora rubla wydawałem na moje utrzymanie, a drugie półtora zanosiłem do Kassy Oszczędności, tak, że regularnie przez lat trzy składałem rocznie po rubli 72, a co obecnie doprowadziło mój kapitalik do summy dwustu kilkudziesięciu rubli, doliczając do tego procenta. Obok tego dawano mi i robotę prywatną, którą wykonywałem wieczorami, czasem i w nocy; z tego miałem rocznie kilkanaście rubli, za które kupowałem odzież i obuwie, a nawet czasem pozostało mi i na teatr i na kupno książek.

— Jakto książek, albożty masz czas i książki czytać?

— O tak, i bardzo je lubię — teraz czytam Robinsona, z którego dowiedziałem się ciekawych rzeczy. Czytam także regularnie Czytelnię Niedzielną, którą mi daje mój opiekun; wiele tam dla nas nauczających znajduje się artykułów, i wam z serca życzę, żebyście się z nią poznali, a ręczę, że zasmakujecie w czytaniu i niejednę niedzielę, niejeden wieczór przepędzicie lepiej, niż na gospodzie, lub w jakiej kawiarni. Chcieliście odemnie nauki o oszczędności, otóż to wszystko, co mogłem wam o niej powiedzieć. Tak i wy postępujcie, zamiłujcie pracę, skromne życie i naukę, a zaręczam, że każdy z was pozna i upodoba drogę do Kassy Oszczędności i w krótkim czasie będziecie jak my z Andrzejem, kapitalistami.

— Dzielny z ciebie chłopak Jakóbku, odezwali się wszyscy z wzruszeniem; wart jesteś, żeby cię naśladowano i zobaczysz, że twoja nauka *nie pójdzie*, jak mówią, *w las*. Za rok, jak Bóg da, stawimy się wszyscy przed tobą z książeczkami Kassy Oszczędności, a zobaczysz, że grosza nie braknie do 70 rubli.

Rozmowę tę przerwały tłumy publiczności, tłoczące się do ogrodu na Czyste — weszli tam i nasi bohaterowie, bawili się jak najdoskonalej, bo Jakóbek i Andrzej mieli prawdziwą roskosz, patrząc na swoje dzieło nawrócenia, a nawróceni cieszyli się z tego pięknego dnia, który im miał otworzyć nowe ścieszki do dobrego i poczciwego życia.

---

## Pogadanki starego rolnika.

### V.

(Patrz nr. 26 Czytelni)

Janek Goździak, którego różne pogadanki z ludowiną poczciwą w Marusicach czytaliście nieraz w drukowaniu, nie nazywa się tak, jak się o nim pisze, ale zupełnie inaczej; boć nie wypada statecznym człowiekiem, co ma uważanie i przyjaźń ludzką, tak publicznie posponować. Dla nas jednak niech on zawsze będzie Jankiem Gozdziakiem z Marusic, bo tu nie idzie o przezwisko, tylko o mądre jego słowo, które choć z chłopskiej wychodzi głowy, ale nie powstydzi się nawet ludzi z nauką i edukacyą, i przez każdego, co ma Boga w sercu, pochwalone zostanie. Teraz posłuchajcie nowego opowiadania Janka, bo wiele w niem znajdziecie ciekawości.

Otóż niedawno temu Janek z dziedzicem jeździł do Warszawy, a gdy wrócił i sąsiedzi zeszli się do niego w niedzielę, żeby troszkę pogaworzyć o takiem wielkiem mieście jak Warszawa, a przytem i powitać go z podróży, Bąbała, co za dwóch miał w sobie ciekawości, widząc, że gospodarze rozgadują się między sobą, a Janka prawie do słowa nie chcą przypuścić, syknął, klapnął się po łysinie i rzekł głośno, troszkę z niecierpliwością:

— Sąsiedzi, dalibyśta waszemu bajbugstwu

pokój, a lepiej posłuchali, co nam Jan powiedzą. Wrócili oni teraz z wielkiego świata, to ta niejednej rzeczy można się będzie od nich dowiedzieć.

— A jużcić, a jużcić, odezwało się na to kilka głosów, a gdy się wszyscy uciszyli, Janek popatrzył z przyjaźnią po wszystkich i po chwilce rzekł:

— Moi ludzie, bardzo i bardzo wiele mam ciekawości z Warszawy, ino brak mi sposobu do wypowiedzenia wam tego, co tam widziałem i słyszałem, żebyście wszystko tak poczuli, jak ja to czułem, i żeby się wam tak serce uradowało, jak moje było pełne wesela i uciechy. Ale jak umiem, tak opowiem, a wy słuchajcie moi sąsiedzi, i niech każde moje słowo będzie jak nasienie w ziemię dla plonu wrzucone, a serca wasze i dusza, jak żyzna czysta rola, co ni jednemu nawet ziarnku nie da zmarnieć i zginąć.

Przy tych słowach Janek w mowie trochę przystanął, każdy ze słuchających poprawił się na siedzeniu, młody Modrasiak zdusił w sobie śmianie z otwartej gęby Bąbały, nikiej wrota, bo przy tylu statecznych ludziach i przy takiej poważnej gadce nie wypadało młokosowi z figlami wyjeżdżać, a Janek po małym przestanku tak dalej mówił:

— Nie zapomnieliście zapewne moi sąsiedzi, co wam opowiadałem o założeniu przez panów Towarzystwa Rolniczego i o wyznaczeniu przez nich nagrody dla tych gospodarzy chłopów, którzy się w gospodarstwie dobrze obrządzają, uczciwie żywot swój prowadzą i zawdy mają na baczeniu bojaźń Boga i miłość dla wszystkich ludzi bez żadnego wyłączenia. Chociaż we mnie nie jeden, ino sto, a może i więcej siedzi grzechów, równie jednak nasz dziedzic podał mnie do nagrody, i jak ta opisał wszystko dokumentnie: jak żyję, jak się obrządzam, jak z wami moi sąsiedzi rozgaduję się i czytuję wam różne książki, a najczęściej Czytelnię Niedzielną, tak Delegacya przysądziła mi nagrodę...

— A to sprawiedliwie mój Janie, odezwano się dokoła; przecieć tu wszyscy wiedzą, co wy jesteście między nami najpierwsi, i żeby nie wy, toby się we wsi nieraz Bóg wie co nie działo. Was wszyscy chłopi kochają i szanują, to nie dziwota, że was panowie także uszanowali jak wypada.

I wiele jeszcze było takiego chwalenia, Janek z rozrzewnieniem poglądał po wszystkich, bo na taką przyjaźń ludzką to trudno łzy nie puścić do oczów, i dopiero gdy się troszkę ludowina uciszył, tak mówił dalej:

— Bóg wam zapłać moi sąsiedzi za poczciwe wasze słowo; po prawdzie rzekłszy, nie warta człek jego, boć i we mnie ułomności co nie miara—ale kiedy się tak Bogu podobało postawić mię nad drugimi, to niechże będzie Imię Jego święte pochwalone!

Otóż moi sąsiedzi! z powodu to tej nagrody jeździłem z dziedzicem do Warszawy, a co ja ta widział, to póki życia mego, nigdy nie zabaczę. Przytem trzeba wam wiedzieć, że nie ino mnie jednego to szczęście spotkało, bo na każdy powiat przeznaczono jednę nagrodę dla gospodarza, po dwie dla parobków, owczarzy, pasterzy, stelmachów, kowali, kołodziei, po jednej dla ekonomów, dla rządców; wszystkich więc nagród razem wyniesie przeszło 250, bo i dla panów także na cały kraj za dobre gospodarowanie ośm nagród przeznaczono.

— Ho, ho, odezwało się kilka głosów, to na takie nagrody kilka się złotówek między ludzi rozejdzie.

— Przeszło 30,000 złp. (rs. 4500) moi ludzie, odrzekł na to Janek; kupiłby za to dobry folwark, bo oprócz pochwały na piśmie, jak to już wam raz czytałem z Czytelni Niedzielnej, dodawano pieniędzmi po złp. 333 gr. 10 (rs. 50) i po złp. 100 (rs. 15).

— Jakto, to naprawdę rozdawano pieniądze na nagrodę? zapytał Bąbała, bo ja myślał, że to ino tak dla sławy rozgadano między ludźmi.

— Naprawdę, naprawdę, odrzekł Janek, bo kajżeby panowie śmieli taką rzecz publikować przez gazety, i potem nie dotrzymać?

— A i wyście dostali?

— A jakże, dostałem.

— A i wiela też, wiela? zapytał ciekawie Bąbała, i aż mu się oczy zaiskrzyły z jankuru.

— A dostałem całkowe 50 rs., co wyniesie na złote rychtyk złp. 333 gr. 10.

— A i jakże to było, opowiedźcie nam.

— Jakeśmy przyjechali z dziedzicem do Warszawy, a było to w piątek, tak wszyscyśmy na drugi dzień w sobotę poszli do kościoła księży Kapucynów wysłuchać Mszy

stej, co ją panowie zakupili, żeby Bóg dopomagał w całem ich pomyśleniu, i żeby ich starania i zachody na dobre wyszły tak dla nich i dla nas włościan; bo wszyscyśmy gospodarzami i rolnikami, i wszyscy wedle jednej obrządzamy się roli. Panów było pełniuśko w kościele, nabożeństwo było piękne, a kiedy się skończyło, wszyscyśmy poszli do pałacu, co go nazywają pałacem *Paca*, i po dużych, pięknych, kamiennych schodach weszliśmy do wnętrza na piętro. Była to izba, nikiejby kościół... środkiem stały ławki het! jedna przy drugiej, a u góry na murowanych słupach szła do koła galerya. Kiedyśmy weszli, to wszędzie już panów i pań różnych było jak nabił, bo i Warszawiacy przyszli przysłuchiwać się, jak też gospodarze radzić będą o gospodarstwie. Mnie moi ludzie, troszka markotno się zrobiło, jakem zobaczył tyla państwa i wysokich urzędników z orderami na piersiach i krzyżami; stanąłem więc na uboczu, w samym kąciku między słupem i ścianą, ale pan przyszedł do mnie i rzekł:

— Nic się Janie nie strachaj, bo tu nic dla siebie nie doznasz złego, ino samej przyjaźni i dobroci; podejdź se śmiało między panów trocha ku przodowi, żebyś mógł usłyszyć, co będą czytać,

I podszedłem troszka naprzód, a pan skazując mi, mówił dalej:

— Widzisz tego pana, co siedzi na podniesieniu twarzą do wszystkich? To najstarszy w naszem Towarzystwie Rolniczem, Prezes, hrabia Andrzej Zamojski, a wedle niego siedzą członkowie Komitetu, czyli *Rada*, jak na ten przykład we wsi jest sołtys, a przy nim radni do doradzania. Niedługo zacznie się czytanie, to przysłuchajże się mój Janie, żebyś umiał swoim sąsiadom opowiedzieć. A pamiętaj nie chować się po kątach, bo ci tu nikt i marnego nie powie słowa.

I prawda moi ludzie, bo kiedy pan odszedł, a przy mnie inny jakiś stanął i ja mu chciałem namknąć się z miejsca, przytrzymał mnie za rękę i rzekł z przyjaźnią:

— Stójcie mój gospodarzu, bo i dla was i dla mnie miejsca tu nie braknie?—a zkąd wy jesteście?

Kiedy mu wszystko opowiedziałem, wyjął tabakierkę, poczęstował mię tabaką, i potem staliśmy już wedle siebie, i choć inni panowie do niego przychodzili, i nawet im było z subjekcyą około mnie przechodzić, i ja za każdym razem chciałem się usunąć, to mi nie dali, i rad nierad musiałem zostać w miejscu, prawie po równości z poczciwymi panami.

— Patrzajcie moi ludzie, odezwano się dokoła, to szlachta jakaś dobra; niech im ta Bóg da wszystko najlepsze.

— Ej! moi kochani, odezwał się Wojcik, to ino Jan mają takie szczęście, bo na ten przykład mój brat z Pełczyna, co z furą dworską był wtedy w Warszawie, to go żadnym sposobem wpuścić nie chcieli, i jeszcze się nad nim nieladajak nawydziwiali, napospponowali.

— Mój Wojciku, odezwał się Janek, a wiecie dlaczego?

— A jużcić dlatego, że nie ma takiego jak wy szczęścia.

— Ej! albo to prawda— oto widzicie dlatego, że tak jak wy jesteście poczciwi, trzeźwi i pracowici, tak brat wasz nicpoń, próżniak, gorzałczarz i ma smołę w ręku— prawda?

— No jużcić trocha i prawda, odrzekł Wójcik, bo mu nie wypadało tak zupełnie skargi na brata przyjmować.

— No, więc jakżeście chcieli, żeby takiemu nicponiowi robili panowie takie honory, jak poczciwemu i dobremu gospodarzowi? Boć to przecie nielada rzecz tak razem z panami być po równości. Gdyby was pan tak samo uważał i szanował, jak na ten przykład waszego brata, toby wam z pewnikiem było to po przykrości, boć co innego poczciwość, a co innego hultajstwo, co innego szkapa robotna i skorna w pracy, a co innego narowista, co zamiast ciągnąć, to wierzga, kwiczy i rzuca ogonem.

— No jużcić prawda, prawda, potwierdzono dokoła; ale nie przeszkadzajcie, niech Jan opowiadają swoje, bo w najciekawszem miejscu przeszkodziliście.

— Otóż moi kochani, zaczął mówić Janek, niedługo prezes hrabia Zamojski zadzwonił, uciszyli się wszyscy i zaczął czytać: że się na to będą co rok gromadzili panowie, żeby naradzać się nad pomaganiem gospodarstwu, że inni przeczytają to, co się już przez tę pół roku zrobiło, aby ludzie wiedzieli, co oni wszystko mają w pamięci, i że, aby wszyscy

pracowali w Imię Boże, to Bóg wszystkiemu dopomoże.

Potem znowu inni panowie czytali o ekonomach, o rządcach, o ogrodnikach, różnych majstrach, karbownikach, owczarzach, pastuchach, parobkach, wreszcie o gospodarzach, i narzekali, że niewielu między tymi wszystkimi znajdzie takich, coby zasłużyli na nagrody. Ale zaraz dołożyli, że spodziewają się, iż chłopi, co teraz coraz są lepszymi, bo i z gorzałką już nie tak się zadają jak dawniej, i lepiej garną się do pracy, i dla dworów stają się przychylniejszymi, to pomału przyjdą do zupełnego rozumu i przekonają się, że w gorzałce siedzi djabeł, co w pierwszym kieliszku na dnie potulnie tylko pogląda na człowieka, w drugim wypływa do połowy i ujmuje się pod boki rękoma, w trzecim wypływa na wierzch i przekręciwszy czapki nabakier, przez usta człeka wyśpiewuje: *oj dana, dana, dana,* przy czwartym włazi w człowieka i przewracając nim po ziemi, wiedzie go do wszystkiego złego, do obrazy Boskiej, a przy piątym, szóstym, siódmym, jak się to często powtarza, bierze duszę w szpony, wyciąga ją z ciała, i zanosi do piekła. Potem dołożył ten pan, co to czytał, że teraz rzadziej się to przytrafia jak dawniej, że chłopi codzień przekonywają się, iż praca, to poczciwość, bo daje dobry byt, spokój w domu, miłość, zgodę, poszanowanie, dozwala dziatki wychować w bojaźni Bożej, a na starość zapewnia spokojny kawał chleba i ściele dla duszy drogę do nieba, i że dwór to jedyny i najlepszy przyjaciel chłopa. Kiedy czytanie ukończone zostało, a czytali tam i o mnie i wtedy schowałem się za filar, bo zdało mi się, że wszyscy na mnie spojrzeli, i o innych gospodarzach, fornalach, parobkach, karbownikach, co nie jeden z chudoby jak my ją mamy, przyszedł do majątku i pokupował synom kolonie, a każdy na miejscu, kaj się urodził i do 30 czasem lat przebywał i więcej nawet, otóż kiedy czytanie to ukończyli, wtedy zaczął hrabia Zamojski z nazwiska wywoływać wszystkich, co mieli odbierać nagrody, i każdy szedł koleją, odbierał duży papier zadrukowany, i powracał na swoje miejsce. Szli więc jedną drogą panowie dziedzice, rządcy, ekonomowie, a kiedy na mnie przyszła kolej, zadrgało mi serce; ale śmiało z laską i czapką w ręku, choć w wiejskiej kapocie i w grubej koszuli przyszedłem do samego hrabiego. Ten mi podał taki sam papier, jak naszemu dziedzicowi, bo i on dostał nagrodę, wyciągnął potem rękę, uścisnął moję jakby sobie równą, a tu moi ludzie, jak wszyscy nie zaczną klaskać w ręce, i wołać: wiwat! niech żyje poczciwy Janek Goździak, jak mnie potem nie otoczą dokoła, jak nie zaczną ściskać i całować, tak powiadam wam, że rozpłakałem się jak dziecko i memu dziedzicowi padłem do nóg jak długi na podziękowanie, że mi na te stare lata dał tyle radości i uciechy. O! moi ludzie, tego dnia póki życia mego nie zapomnę, a choćbym miał dwie, nie jednę gębę, to wam nie opowiem, jak się wszyscy radowali, z jakiem byli dla nas kilku chłopów poszanowaniem, z jaką delikatnością i przychylnością. Niech im Bóg da wszystko jak najlepsze!

Potem Janek pokazał sąsiadom papier ów zadrukowany i odebrane pieniądze, zaprosił wszystkich na nabożeństwo do Opatrzności Boskiej, a choć może niejeden Jankowi tego wszystkiego zazdrościł, jednak wszyscy rzekli między sobą:

— Poczciwi jednak nasi panowie; czasem ta markoci się z nimi, ale równie dbają o nas, i pono gorzejby było, a nawet człekby se żadnej nie potrafił dać rady, żeby panów nad nami zabrakło. Niechże się ta Pan Bóg nimi opiekuje, kiedy nad nami chudziakami mają miłosierdzie i wymiarkowanie.

---

## Zdania.

1. Nie znają tego próżniacy,
   Jak słodko spocząć po pracy.

2. Zysk z złą sławą, pomnij na to,
   Nie jest zyskiem, ale stratą.

3. W ubóstwie zostawi dziatki,
   Kto źle miarkuje wydatki.

4. Snadno straci mienie swoje,
   Kto namiętnie lubi stroje.

---

W drukarni J. Ungra.— Wolno drukować.—Warszawa d. 21 lipca (2 sierp.) 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*